

Rozmowa z Arturem JAROSZEWSKIM, przewodniczącym Rady Miasta Płocka

Dekada przewodniczącego

Na wstępie chciałbym panu pogratulować. Dziesięć lat jako przewodniczący rady miasta to chyba rekord w płockim samorządzie?

Dziękuję. Muszę przyznać, że zapomniałem o tej dacie... A czy to rekord? Nigdy tego nie sprawdzałem. Chyba zresztą trudno byłoby porównywać lata minione, okres dwudziestolecia międzywojennego, a zwłaszcza PRL-u.

Przez ostatnie trzydzieści lat kolejno przewodniczącymi Rady Miasta Płocka byli: Tadeusz Taworski, Franciszek Wiśniewski, Andrzej Bukowski, Wojciech Hetkowski, Andrzej Rokicki, Krzysztof Rolirad, Stanisław Nawrocki, Tomasz Korga, Elżbieta Gapińska i pan.

Z tego wynika, że mój staż jako przewodniczącego Rady Miasta Płocka jest faktycznie najdłuższy od reaktywacji wolnego samorządu w Polsce. Ale przecież nie chodzi tu o rekordy. Niewiele krócej sprawował tę funkcję Tomasz Korga.

Trzydzieści lat i tylko jedna kobieta. Gdzie tu równouprawnienie?

Zgadzam się, że udział pań w życiu publicznym powinien być większy. Na szczęście rośnie z roku na rok. W samorządzie decydują o tym wyborcy. W ostatnich wyborach płockanie zdecydowali, że w dwudziestopięcioposobowej radzie zasiadło dziewięć kobiet. Na swoje „usprawiedliwienie” dodam, że w roku 2010 to ja zgłosiłem Elżbietę Gapińską na funkcję przewodniczącej płockiej rady. Obecna pani poseł była pierwszą przewodniczącą rady miasta w historii Płocka.

Czym w ogóle jest rada miasta?

Szczegółowo jest to zapisane w ustawie o samorządzie terytorialnym. Płock należy do 66 największych miast w Polsce, które są miastami na prawach powiatu. Posiadają one obowiązki i kompetencje zarówno gminy jak i powiatu. Mieszkańcy uczestniczą w sprawowaniu władzy poprzez wybór swoich przedstawicieli w wyborach samorządowych.

Wśród organów miasta na prawach powiatu wyróżniamy radę miasta, która sprawuje władzę uchwałodawczą i kontrolną oraz organ wykonawczy – prezydenta miasta. Do najważniejszych zadań rady należą: uchwalanie statutu gminy, uchwalanie budżetu oraz udzielanie prezydentowi absolutorium z jego wykonania, powoływanie i odwoływanie skarbnika gminy, uchwalanie miejscowych planów zagospodarowania przestrzennego, podejmowanie uchwał w sprawach majątkowych gminy, uchwalanie dokumentów strategicznych na przykład raportów o stanie miasta. W praktyce w każdym miesiącu radni opiniują i uchwalają kilkadziesiąt uchwał, programów, sprawozdań, raportów.

Jaka jest rola przewodniczącego rady?

Przewodniczący przygotowuje i organizuje pracę rady, prowadzi jej obrady, podpisuje dokumenty urzędowe i prowadzi korespondencję rady. Oprócz tego, tak

samo jak pozostałych 24 radnych, przewodniczący jest członkiem minimum dwóch komisji merytorycznych. Szczegółowo jest to opisane w statucie miasta. Co istotne – radny to funkcja społeczna. Radni nie są pracownikami Urzędu Miasta.

Jakby Pan podsumował minione dziesięć lat?

Najkrócej mówiąc to praca mało widoczna dla mieszkańców – tysiące pism, dokumentów, projektów, analiz, ekspertyz, programów, a przede wszystkim spotkań i uchwał, a także interpelacji, które składam jako radny. I oczywiście kilkaset sesji rady i posiedzeń komisji.

Powszechnie znane jest pana zainteresowanie problemami związanymi z zanieczyszczeniem płockiego powietrza i jego wpływem na zdrowie mieszkańców. Ostatnio dla wielu polityków to „modny” temat...

Z mojej strony nie jest to postępowanie koniunkturalne. Uważam, że w obecnych czasach, nie tylko ze względu na zmiany klimatu na Ziemi, istotne jest, jakim powietrzem oddychają płockanie. Jego stan wpływa na nasze zdrowie. I właśnie temu zagadnieniu poświęciłem najwięcej czasu w pierwszym okresie przewodzenia płockiej radzie. Po obfitej oficjalnej korespondencji z różnymi instytucjami, w tym z ministerstwem środowiska, ministerstwem zdrowia, Głównym Inspektoratem Ochrony Środowiska, WIOŚ, NFZ, wojewodą, sejmikiem czy GUS w końcu dotarłem do wiarygodnych danych dotyczących emisji zanieczyszczeń powietrza w Płocku oraz do statystyk nowotworowych. Niektóre z instytucji udostępniały dokumenty dopiero po werdyktach sądowych. Gdy poinformowałem o tym opinię publiczną, niektórzy zaprzeczali, inni atakowali i próbowali dyskredytować. Dzisiaj nikt już nie podważa twardych danych. A są one smutne: specyficzne zanieczyszczenie płockiego powietrza z dominacją emisji przemysłowych oraz ponadprzeciętna liczba zgonów na nowotwory płuc i oskrzeli. Przypominając o tym, czasami czuję, że mój głos to głos wołającego na pustyni.

Czy nadal jest tak źle?

Bez wątpienia płockie powietrze jest dużo lepsze niż kilkadziesiąt lat temu. Ale wciąż jeszcze dużo trzeba poprawić. Miasto wspiera wymianę pieców węglowych i wymienia tabor komunikacji miejskiej na nowy, niskoemisyjny. Ale na emisje przemysłowe wpływu nie mamy. Decyzje i pozwolenia w tym zakresie wydawane są na szczeblu wojewódzkim i centralnym. GIOŚ i WIOŚ również nie podlegają władzom Płocka. Ale i tu obserwuję poprawę. Na przykład dawno nie słyszałem komentara ze strony koncernu „to nie my tylko drukarnie”.

Ministrowie, prezesi oraz szefowie firm i instytucji często się zmieniają. Czy wiedza o specyfice środowiskowej Płocka znana jest ich następcom?

Niestety, często nie. Dlatego musimy nadal o tym mówić i pisać. Smutne są również puste obietnice składane płockanom w kampaniach wyborczych. Gdyby się spełniały, na Winiarach już dawno mielibyśmy radioterapię. Jeszcze raz przypomnę, że specjalistyczna aparatura medyczna w Polsce nie jest finansowana z budżetów miast czy powiatów, tylko z budżetu centralnego. Wiele liczyło na pomoc i zaangażowanie ministra zdrowia i jednocześnie posła z naszego okręgu Łukasza Szumowskiego. Nadzieje były duże, a rozczarowanie jeszcze większe.

Co jeszcze w ostatniej dekadzie pana absorbowало?

Działania na rzecz poprawy zewnętrznej infrastruktury komunikacyjnej Płocka. Dzisiaj słyszymy o przygotowaniach do budowy drogi ekspresowej S10. Jednak mało kto pamięta, że do roku 2010 we wszystkich dokumentach krajowych i wojewódzkich droga S10 planowana była po starym śladzie drogi krajowej nr 10 z przebiegiem Płońsk–Drobin–Sierpc–Lipno–Toruń–Piła–Szczecin. Czyli 40 km od Płocka! Działało bardzo silne lobby powielenia tego przebiegu w wersji ekspresowej. Walka o zmianę trasy i jej przybliżenie do Płocka była i jest jednym z priorytetów moich oraz prezydenta Andrzeja Nowakowskiego.

Pierwszym sukcesem Płocka dotyczącym S10 był, przyjęty w grudniu 2011 roku, rządowy dokument „Koncepcja przestrzennego zagospodarowania kraju 2030”. Zapisano tam po raz pierwszy nowy przebieg S10. Różne instytucje nadal jednak tworzyły programy i plany trasy przez Sierpc. Wystaliśmy wiele pism, odbyliśmy wiele spotkań, corocznie na sesje i komisje rady miasta zapraszaliśmy decydentów z instytucji centralnych. Ostatecznie w październiku 2015 roku rada ministrów uchwaliła kolejną wersję rozporządzenia w sprawie sieci autostrad i dróg ekspresowych. Po raz pierwszy przebieg S10 określono jako: Szczecin–Piła–Bydgoszcz–Toruń–Płock–Nowy Dwór Mazowiecki.

Od tego momentu wielokrotnie wnosiliśmy korekty do dokumentów rządowych, ministerialnych i wojewódzkich, gdy proponowano przebiegi S10 między Bielskiem a Sierpcem. We wrześniu 2019 w kolejnym rozporządzeniu rady ministrów w sprawie sieci autostrad i dróg ekspresowych zapisano przebieg przyszłej S10 jako: Szczecin–Piła–Bydgoszcz–Toruń–Płock–Naruszewo. W gminie Naruszewo docelowo S10 połączy się z obwodnicą aglomeracji warszawskiej, którą tworzyć będzie fragment A2 i droga ekspresowa S50. W końcu mamy podstawy, by oczekiwać budowy tej drogi ekspresowej w bliskim sąsiedztwie Płocka.

Jednak czasowe perspektywy budowy S10 nie są optymistyczne. Ostatnio słychać z wypowiedzi parlamentarzystów o realnym terminie płockiego odcinka około 2030 roku...

To prawda. Od czasów PRL-u ważność dróg krajowych określa



Artur JAROSZEWSKI urodził się w 1964 roku. Wykształcenie: mgr inż. elektryk (Politechnika Warszawska i Politechnika w Kijowie), menedżer (Wydział Zarządzania Uniwersytetu Warszawskiego), Poddyplomowe Studia Zarządzania Spółkami Prawa Handlowego (Szkoła Główna Handlowa). Ukończył liczne kursy i szkolenia specjalistyczne, posiada uprawnienia do zasiadania w radach nadzorczych spółek handlowych. W latach 1991–2000 pracował w Miejskim Zakładzie Handlowo-Usługowym w Płocku, przekształconym w spółkę Rynex, której był pierwszym prezesem. W latach 2000–2018 zatrudniony w PKN Orlen. Od roku 2019 dyrektor ekonomiczny w Miejskim Towarzystwie Budownictwa Społecznego w Płocku. W 2011 roku wybrany został przewodniczącym Rady Miasta Płocka.

ich numeracja. Dlatego w pierwszej kolejności budowane były autostrady A1, A2, A4 i A3. Potem drogi ekspresowe S8 i S7 (budowa na ukończeniu). Aktualnie trwa budowa S5 i S6. Obecny rząd postanowił przyspieszyć budowę dróg na wschodzie kraju, stąd zaawansowanie robót na S17, S19 i S61. Następne w logicznej kolejności powinny być S10, S11 i S12. Niestety, najwolniej idą przygotowania do budowy S10. Dlaczego? Proszę o to pytać parlamentarzystów i ministrów. Mimo wszystko uważam, że ważniejszy od terminu jest przebieg trasy. Wolę pojechać S10 w pobliżu Płocka w roku 2030, niż S10 przez Sierpc kilka lat wcześniej.

A co z drugą nitką drogi w stronę Warszawy?

Niestety, to również droga krajowa, konkretnie DK 62. Głównym decydentem dla niej jest Generalna Dyrekcja Dróg Krajowych i Autostrad. Władze Płocka już kilka lat temu przygotowały koncepcję budowy drugiego pasa tej drogi od Zielonego Jaru do granicy miasta w Mirosławiu. Udostępniliśmy ją GDDKiA. W roku 2018 zostało podpisane porozumienie między GDDKiA i miastem Płock o przebudowie tej drogi. Inwestorem jest GDDKiA, a Płock zobowiązał się do jej finansowania w granicach miasta.

Całość miała być ukończona w 2022 roku. Jednak ktoś w Warszawie wymyślił, żeby poszerzyć ulicę Wyszogrodzką nie od strony północnej, tylko południowej, czyli pod oknami istniejących od lat domów! W GDDKiA kwestionowano również sens budowy drugiego pasa drogi, zamiast 2+2 proponowano 2+1. Władze Płocka wskazywały na absurdalność takich pomysłów. Rada miasta

i prezydent Płocka każdego roku zabezpieczają w budżecie miasta środki finansowe na tę inwestycję, lecz decydentem jest, niestety, instytucja rządowa.

Jak podsumuje pan ostatnie dziesięć lat w inwestycjach samorządowych, za które odpowiada miasto Płock?

Często słyszę od mieszkańców budujące opinie, że w ostatnich latach Płock bardzo się zmienił. Przypomnę, że ostatnia dekada to między innymi: budowa wewnętrznej obwodnicy od Podolszyc do Orlenu, budowa wiaduktu kolejowego nad al. Piłsudskiego, budowa nowego dworca autobusowego, przebudowa ulic: Otolińskiej, Kazimierza Wielkiego, Dobrzyńskiej, 1 Maja, 3 Maja, Targowej, Bielskiej, Grabówka, Harcerskiej, Borowickiej, Pocztowej. Przebudowa alei: Piłsudskiego, Jachowicza, Kobylińskiego, Kilińskiego, Armii Krajowej i Jana Pawła II. Modernizacja wielu szkół wraz z budową nowych sal gimnastycznych, nowe przedszkola i żłobki, nowa siedziba POKiS-u.

Powstało wiele nowych ścieżek rowerowych. No i kilkadziesiąt wybudowanych lub zmodernizowanych ulic osiedlowych, z których często mieszkańcy cieszą się najbardziej. Ogromna zmiana nastąpiła również pod ziemią: przebudowano oczyszczalnię ścieków i kilkadziesiąt kilometrów infrastruktury kanalizacyjnej, zarówno deszczowej jak i sanitarnej. Można by wymieniać jeszcze długo. Łatwo przyzwyeczamy się do nowego i lepszego. Szybko zapominamy, jak było kiedyś. Przez minione dziesięć lat Płock zmienił się zdecydowanie na lepsze, co zauważają zarówno mieszkańcy miasta, jak i przyjezdni.

Przeciwnicy zarzucają wam zadłużanie Płocka i życie na kredyt.

Ciekawe, ale najgłośniejsze takie zarzuty wypowiadają ci, którzy rządili miastem w latach 2002-2010. To wówczas miał miejsce rekordowo dynamiczny wzrost zadłużenia. Niektórzy sądzą, że płoczenie mają krótką pamięć. Od kilku lat zadłużenie utrzymuje się na stabilnym poziomie, wynosząc około 500 milionów złotych przy rocznym budżecie około 1 miliarda. Jeżeli brane są nowe kredyty, w dużej mierze związane jest to ze spłatą starych zobowiązań.

Musimy też pamiętać, że staramy się corocznie o środki unijne, czyli zewnętrzne dofinansowanie do różnych przedsięwzięć, głównie inwestycyjnych. Startujemy w konkursach, rywalizujemy z innymi samorządami. Nie wiemy, jak długo jeszcze Polska będzie beneficjentem tego dofinansowania, ale grzechem byłoby nie korzystać z takiego dobrodziejstwa. Dofinansowanie to nieraz 50, a nieraz nawet 85 procent kosztów kwalifikowanych. Resztę kwoty trzeba jednak dołożyć z budżetu miasta. Nieraz niezbędne jest do tego wsparcie kredytowe. Nie mam wątpliwości, że leży to w interesie Płocka i jego mieszkańców.

Zarządzanie 25-osobową radą miasta zapewne nie jest proste. Różne partie, różne kluby, różne ambicje. Jak pan to godzi?

Rada miasta to taki mały, lokalny parlament. Staram się tak szefować tym gremium, by polityki było jak najmniej. Komunikacja miejska, szkoły, przedszkola, chodniki, ulice, parki czy odpady komunalne nie mają barw partyjnych. Ich sprawne i dobre funkcjonowanie leży w interesie wszystkich mieszkańców. Z perspektywy dziesięciolecia oceniam, że dyskusje i spory w płockim samorządzie toczą się zdecydowanie bardziej kulturalnie i przyjaźni niż w sejmie. W tym czasie ani razu nie padł w radzie miasta wniosek o odwołanie przewodniczącego. To dowód, że mój sposób zarządzania radą odpowiada radnym.

Na funkcję przewodniczącego był pan wybierany trzykrotnie, w latach 2011, 2014 i 2018. Który wybór najbardziej utkwił panu w pamięci?

Zdecydowanie ten pierwszy. Emocje były wówczas największe. Tym bardziej, że zmiana przewodniczącego następowała w trakcie kadencji. Przy okazji zetknąłem się wówczas ze specyficznymi i zaskakującymi zachowaniami niektórych osób. Może kiedyś opiszę to we wspomnieniach...

Co najbardziej przeszkadza przewodniczącemu Jaroszewskiemu?

Brak czasu. Doba ma tylko 24 godziny. Łączenie obowiązków przewodniczącego rady z pracą zawodową to duże wyzwanie. Na szczęście dzieci mam już dorosłe. Z roku na rok rośnie sterta zaległych książek do przeczytania, chociaż troszkę zaległości nadrobiłem w trakcie izolacji covidowej. Ale więcej czasu na hobby będę miał dopiero na emeryturze, zawodowej lub samorządowej.

Liczne spotkania, duże obciążenie stresującej działalności, jak pan się regeneruje?

Najlepsza forma wypoczynku to ruch. Od dwudziestu lat biegam. Po godzinnym samotnym joggingu schodzi z człowieka cały nagromadzony stres. Tak ładuję swój biologiczny akumulator. Polecam każdemu, jak nie bieganie to przynajmniej długie spacery. ■

Rozm. Jan B. NYCEK

**Hanna PAWŁOWSKA: Zapiski prowincjonanego pismaka (6)**

Jak przekraczałam kompetencje

Słowo się rzekło, kobyłka u płota. Podczas pobytu w białoruskim Mińsku przedstawiciele zaprzyjaźnionej z naszym „Tygodnikiem Płockim” gazety „Mińska Prawda” zajęli się mną troskliwie. Teraz ja z kolei musiałam zatroszczyć się o przyjeżdżającą do Płocka delegację dziennikarzy z „Mińskiej Prawdy”.

Delegacja była dwuosobowa: sympatyczna Ludmiła Kłaskowska, z którą się od razu zakolegowałam, oraz towarzyszący jej młody dziennikarz i fotoreporter w jednej osobie, którego nazwiska nie pomnę. Program kilkudniowego pobytu w Polsce mieli wypełnić po brzegi licznymi oficjalnymi spotkaniami i wizytami. Część tego bogatego programu wziął na siebie redaktor Bogdan Iwański, który gościł wraz ze mną na Białorusi, a część nasz ówczesny naczelny Jan Bolesław Nycek. Mnie przypadło w udziale pilotowanie dziennikarzy z bratniej gazety podczas spotkania z władzami polityczno-administracyjnymi Żychlina, wizyta w żychlińskim zakładzie „Emit” i zwiedzanie zamku w Oporowie pod Kutnem.

Wszystko szło według planu, nie licząc drobnego zgrzytu podczas obiadu, zaserwowanego gościom w „Emicie”. Gospodarze w dobrej wierze podali na pierwsze danie flaki, nie przypuszczając, że ulubiona potrawa Polaków budzi obrzydzenie u Białorusinów... Potrawę tę rozpropagował w Polsce król Władysław Jagiełło, pochodzący z Litwy, ale najwidoczniej na pobliskiej Białorusi hołdowano innym zwyczajom kulinarnym i flaki nie znalazły tam uznania. Za to drugie danie goście zjedli ze smakiem i przykre wrażenie jakoś udało się zatrzeć.

W Oporowie zajęła się nami pani dyrektor Muzeum Wnętrz Grażyna Majewska, opowiadając barwnie o historii obiektu i oprowadzając po zamkowych komnatach. Zrobiliśmy sobie fotki z rycerskimi zbrojami. I co dalej? Program skończył się o 16.30, kolejnym punktem była kolacja w płockim hotelu „Petropol” o godzinie 19.00. Jak zagospodarować pozostały czas?

Na szczęście pomyślałam o tym wcześniej. Zadzwońmy do znajomego prezesa Ochotniczej

Straży Pożarnej w Wierzbii pod Kutnem, że mam gości z Białorusi i że można by im pokazać nową remizę strażacką zbudowaną wspólnym wysiłkiem mieszkańców wsi w czynie społecznym. I opowiedzieć coś o funkcjonowaniu ochotniczych straży. Może także coś o dziewczynach. Przecież w Wierzbii działa jedna z nielicznych w Polsce żeńska drużyna strażacka. To by dla zagranicznych dziennikarzy była ciekawostka. Upieczemy przy tym dwie pieczenie na jednym ogniu: OSP Wierzbie dostąpi zaszczytu odwiedzin zagranicznej delegacji, ja zaś zagospodaruję gościom czas i zapewnię miłe wrażenia.

Strażaków z Wierzbii poznałam podczas zbierania materiałów do artykułu „W Wierzbii nie rosną kaktusy”. Ciekawa to była historia. Miejscowa Ochotnicza Straż Pożarna zaczęła w latach 80. minionego stulecia podupadać razem z sypiącą się remizą wybudowaną w 1930 roku. Kiedy władze gminy chciały podjąć decyzję o rozwiązaniu OSP z powodu braku działalności, grupa lokalnych aktywistów pod wodzą Tadeusza Janowskiego zwołała zebranie mieszkańców wsi, by odwołać nieaktywny zarząd i powołać nowy, bardziej prężny. Operacja się powiodła, ale odwołani zawiązali opozycję. Kiedy nowy zarząd postanowił zacząć budowę nowej remizy, opozycjoniści mówili: *Szybciej nam na dłoniach kaktusy urosną, niż w Wierzbii remiza stanie*. I może właśnie dlatego, żeby udowodnić przeciwnikom, jak bardzo się mylili, nowa strażnica OSP we wsi stanęła w rekordowym tempie, a ja na jej otwarciu byłam i dobrze się bawiłam.

Strażakom z Wierzbii dwa razy nie trzeba było powtarzać. Gdy dotarłam tam z delegacją, zmobilizowane przez prezesa kobiety z Koła Gospodyń Wiejskich krzątały się już, szykując wieczerzę. Strażacy wskoczywszy w galowe mundury, pobrzękiwali butelkami z wódeczką. Zanim nakryto do stołu, ja zdążyłam pokazać białoruskim towarzyszom galerię zdjęć z budowy nowej remizy i opowiedzieć o idei ochotniczego strażactwa w Polsce. Ktoś przyniósł kronikę, prosząc gości o wpis gwoździ odnotowania zagranicznej wizyty.



Ludmiła Kłaskowska z autorką na zamku w Oporowie

fot. arch. Hanny Pawłowskiej

Zaproszono do stołu. I od razu toaścik, za zdrowie szacownej delegacji oczywiście. I na drugą nóżkę, za przyjaźń polsko-białoruską. Strażacy za komin nie wylewają, bawić się umieją i staropolską gościnność znają. Ktoś włączył muzykę, ktoś pobiegł po następną flaszkę. W miłej międzynarodowej atmosferze szybko płynął czas, biesiadowaliśmy długo w noc. Było głośno, było radośnie.

Była jednakowoż osoba, która nie podzielała naszej radości: kierowca samochodu, który wioził białoruską delegację. Nie był to nasz redakcyjny samochód ani nasz redakcyjny kierowca, bo tego dałoby się jakoś udobruchać. Naczelny wypożyczył auto z jednego z płockich przedsiębiorstw, z obcym kierowcą, który już podczas porannego spotkania oznajmił, że kończy pracę o 15.00, bo za nadgodziny mu nie płacą. Jak to do 15.00 – pomyślałam – przecież oficjalny program kończy się o 16.30. Ktoś tu czegoś nie dopatrył. Uznałam jednak, że to nie moje niedopatrzenie przecież. Niech naczelny się tym martwi, ja robię swoje. Biesiadowaliśmy więc sobie wesoło w tym Wierzbii, a kierowca wkurzał się coraz bardziej. Mało nie pękł ze złości, kiedy delegaci z Białorusi na chwilejnych nogach opuścili w końcu remizę, zamierzając powrócić na nocleg do „Petropolu”. Pożegnałam się z kierowcą w niezbyt miłej atmosferze, pod swoim adresem usłyszałam kilka ostrych słów.

Ale naprawdę niemiło zrobiło się dopiero nazajutrz. Jadę do redakcji, a tu naczelny z obliczem jak chmura gradowa zaprasza mnie na rozmowę. I o nieodpowiedzialność oskarża. I naganę wręcza, z ciężkim zarzutem o przekroczenie kompetencji. Ale o co chodzi?

Chodziło o to, że kolega dziennikarz z Białorusi miał słabą głowę. Albo za dużo wypił. A może coś mu zaszkodziło, ktoś to wie. Faktem było, i to bardzo brzydko pachnącym, że podczas jazdy z Wierzbii do Płocka zebrało się naszemu koledze z „Mińskiej Prawdy” na wymioty i ową fizjologiczną czynność wykonał w samochodzie. Samochód, jak wspomniałam, był wypożyczony z jednej z płockich firm i kierowca niezwłocznie poin-

formował szefa tejże firmy o zaistniałym fakcie zniszczenia mienia. Ponoć auto, mimo skrupulatnego umycia i wyszorowania wnętrza, wciąż nie nadawało się do użytku... Szef firmy zadzwonił z wyrzutem do naczelnego, któremu nie wypadało uczynić nic innego, jak udzielić mi nagany. Albowiem nie tylko mnie zostało zdewastowane, ale i bezpieczeństwo zagranicznych gości narażone na szwank. Nie daj Boże dziennikarzowi z Białorusi coś by się stało, sprawa oparłaby się o Ministerstwo Spraw Zagranicznych!

Czułam się srodze pokrzywdzona. Miałam zabraniać koledze z „Mińskiej Prawdy” pić? Czy mnie ktoś zabraniał pić, kiedy chłaliśmy wodę z dziennikarzami z „Mińskiej Prawdy” podczas wizyty w Mińsku? Po prostu gorszy dzień miał facet i trochę zaniemógł, ale żyje przecież i gdyby nie sknerstwo naczelnego, który pożyczal obce auta, żeby zaoszczędzić redakcyjną benzynę, sprawa rozeszłaby się po kościach.

Wróciłam do domu i wysmarowałam sążniste odwołanie od nagany do naszego wydawnictwa w Warszawie. Zaatakowałam w szczególności zarzut o „przekroczeniu kompetencji”:

Nie mogę się zgodzić z tym, że przekroczyłam kompetencje, gdyż nikt mi żadnego zakresu kompetencji nie przedstawiał, ani na piśmie ani ustnie. Moim zdaniem w okazywaniu gościnności nie można mówić o kompetencjach, każdy ma prawo do okazywania gościnności i nie jest to powód do nagany. Jedynym przekazany mi dokumentem był ramowy program dnia, który w całości zrealizowałam. Kierowałam się wyłącznie dobrem gości.

Pismo do wydawnictwa wysłałam, odpowiedzi nie doczekałam. Był koniec 1988 roku, wkrótce walczyć zaczął przenosić w niebyt dawne wydawnictwa, gazety, redakcje i ludzi... Cała ta afera z kolacją w remizie nie była warta szumu, który wokół niej powstał. Jeden kieliszek wódki za dużo – czy to powód, żeby staczać takie boje? Zwłaszcza, że cel został osiągnięty: Nasi goście bawili się w Polsce wyśmienicie i na pewno zapamiętali tę wizytę na długo. ■



Strażnica OSP w Wierzbii

fot. Jan B. Nycek